

# OFIARY WAMPIRÓW.

Romans z życia przez Gr-ego.

4

Ciąg dalszy.

To przyszedł do córki hrabia Roźniewski.

Boże, co ten człowiek mówi, co ten straszny człowiek nie postanowił... I Jan słysząc to wszystko, nie może się poruszyć, nie może wstać, nie może się zbudzić... Ani jeden włos nie drgnie na jego głowie wobec tego wszystkiego, co jego uszy słyszą wyraźnie.

A hrabia Roźniewski mówi do córki tonem tak zimnym, jak gdyby nieszczęście to dotknęło nie dziecko jego rodzone, ale kogoś obcego, obojętnego... Jej łzy, jej żal nie wzruszają hrabiego ani na chwilę.

— Ale proszę cię, Wando, masz dowód najlepszy, iż nawet wola Boska jest po mojej stronie... Skoro ten, tam — i wskazał hrabia w stronę trumny na kanapie — już nie żyje, przeto nie staje na przeszkodzie, byś została żoną barona Goldenthala a tem samem ocalała ojca i brata... No proszę cię, przysiąż mi w obliczu śmierci, że w ciągu trzech dni zostaniesz narzeczoną barona, a za trzy tygodnie poślubisz Goldenthala... Co do dziecka zaś...

— Ależ ojczu, jeżelibym już miała zdecydować się na podobną ofiarę dla ciebie i dla brata... to uszanuj przynajmniej moją miłość i wierność dla mego męża...

— Maż twój, jak przywykłaś nazywać pana Anielskiego, dziś przecież nie żyje.

— Ale miłość, ojczu, trwa i poza grobem.

— Tak, a miłość dla ojca i brata nic cię nie obchodzi?... Powtarzam ci, Wando, że nam obu nie pozostaje nic innego, jak kulka w łeb, w takim znaleźliśmy się położeniu, a hańby żaden z nas przeżyć nie zechce.

— Ojczu, mój ojczu, spełnię już czego żadasz.

— Przysiąż mi to, Wando.

— Na miłość dla mego nieboszczyka męża przysięgam ci, ojczu, że skoro tego koniecznie wymagasz ode mnie, zostanę żoną barona Goldenthala.

— Amen — zawołał ucieszonym głosem hrabia, całując córkę w czoło. — Uratowałaś życie ojcu i bratu. Dziękuję ci.

— Ale dziecko moje... zabierzesz, ojczu, do siebie wtedy, gdy ja jako oszustka z twej woli stanawszy przed ołtarzem, zaprzeczę, jakobym była żoną i matką.

— Ah, cóż za brzydkiego wyrazu użyłaś, moja córko... Nie troszcz się o twoje dziecko. Znalazł się człowiek szlachetny, który znając w zupełności naszą tajemnicę, przyrzekł adoptować twego chłopca.

— A któż to jest taki, komubym miała ródzone dziecko oddać na własność?

— Ni mniej ni więcej, tylko księżę Czerski.

— Co? O kim ty mówisz, ojczu?

— Powtarzam ci: Mirosław księżę Czerski.

— Boże święty... ależ to w takim razie ten sam, do którego Jan był wzywany... Od niego wrócił tej nocy... Cóż ty, ojczu, masz z nim do czynienia? Co to ma znaczyć.

— Jakto, nie pojmujesz jeszcze... Twój... niech ci będzie... maż twój miał ocalić dziecko córki księcia. Tymczasem umarło mu ono w rękach przy operacji. Stąd jego rozpacz i śmierć gwałtowna, rozumiesz... Czerski zaś, uważasz, co za szlachetny z niego człowiek, w takim zmartwieniu z powodu straty ukochanego wnuczka, nawet nie urąga temu tutaj — i znowu hrabia Roźniewski wskazał ręką na spoczywającego w trumnie Jana — temu, który powinien był dziecko uratować, a nie dać mu zginąć pod nożem... nie, księżu pragnie tylko zastąpić co prędzej brak tej pociechy w domu małą istotką żyjącą... I pomyślno, Wando — tu hrabia zrobił gości szeroki, kończąc głosem o ile możliwości wzruszenie udającym, wołał: — co za cudowna mądrość i dobroć Wszechmocnego! Przyznaj, czy nie szczęśliwy zbieg okoliczności.

Wanda ukryła twarz w dłoniach, a hrabia deklamował dalej patetycznie:

— Twoje dziecko właśnie ma w pałacu Czerskiego zastąpić własne ich stracone szczęście. Księżu godzi się adoptować twego chłopaka, przeciwko czemu ty, moja córko, rzecz naturalna, nie masz i mieć nie będziesz, spodziewam się. Zresztą Czerski dał na to słowo honoru w zamian za przysługę, jaką mu wyrządzamy, iż będzie milczał o całej historii wobec barona Goldenthala, z któ-

rym znają się dobrze i nie powie mu o tem, że ty nie jesteś już panną.

— Boże, mój Boże — jęknęła młoda kobieta.

— Pojmujesz tedy, moja kochana, że gdyby teraz Czerski zdradził przed Goldenthalem tajemnicę twego niby małżeństwa i macierzyństwa twego... dyabli by wzięli twego ojca i twego brata, mówiąc krótko i węzłowato... A zatem zgoda? oddajesz swego chłopca księciu...

Słyszy to wszystko Jan Anielski w swojej trumnie i ani nie drgnie.

A dusza jego przebywa katusze, na wiadomość o tem, że jego najukochańszego Tadzika ma własna matka oddać w szpony Czerskiego, śladem tamtego dziecka, które przed niewielu godzinami skonało w rękach Jana.

— Litości, Boże — krzyczy coś w duszy pozornie umarłego doktora — chcę mi dziecko zamordować! Mordercy!

A tymczasem Wanda nie przeczuwając nic złego, sama wypowiedziała wyrok śmierci na ukochanego synka.

Naglona przez ojca, zaraz na miejscu podpisała dokument, w którym jak najsoleńniej rzeka się wszelkiej pretensji do własnego dziecka i zobowiązuje się nigdy pod żadnym warunkiem nie śledzić go, nie dowiadywać się o jego życie, nie badać miejsca jego pobytu, a nawet nie przedsięwziąć prób zobaczenia go kiedykolwiek...

Za chwilę zjawia się w mieszkaniu Anielskich sam Mirosław Czerski.

Jan w trumnie słyszy demoniczny głos księcia, słyszy jak hrabia Roźniewski odczytuje mu na głos treść podpisanego przez Wandę aktu zrzeczenia się ich dziecka, słyszy ich poufną rozmowę.

A potem słyszy wyraźnie wzruszające słowa ostatniego pożegnania matki z dzieckiem i jej płacz rozpaczliwy w chwili, gdy księżę odchodzi, zabierając ze sobą malca.

O tem wszystkim, co się wokoło niego rozgrywało z tragicznym pośpiechem, wiedział nieszczęsny Jan dokładnie, a mimo to pozostawał nadal w jednakim stanie martwoty śmiertelnej.

— No, pożegnaj się z nim, Wando — odezwał się, wskazując na trumnę hrabia Roźniewski, na-przód tonem prośby, a gdy to nie skutkowało, powtórzył głosem rozkazującym, dodając: — Udamy się natychmiast do jakiegoś hotelu a potem nocą wyjeżdżamy na wieś... już do naszego zamku. Jutro ma ci się przedstawić twój narzeczonny.

— Jezus Maryja! ojczu, co ty mówisz. Jeszczem Janka mego nie pochowała, a ty...

— Jego pogrzeb musi się odbyć już bez twego udziału. Czy ty tego nie rozumiesz... Twoja rola panny na wydaniu już się zaczyna... Nie zapominaj, o co tu rzecz idzie... No, a teraz chodźże już, proszę cię, moja kochana, nie mamy czasu do stracenia... Nie róbże historii... Umarł, to trudno, taka była wola Boska, i nic na to nie poradzisz. A zresztą Bogu dzięki, że się tak stało...

Wanda odchodzi prawie od zmysłów.

Z dzikim krzykiem rzuca się na zimne ciało męża i pokrywa twarz ukochaną pocałunkami zmieszczanymi z łzami.

— Zbudź się, Jaśku — woła, nie przeczuwając nawet, co za tragedia kryje się przypadkiem w jej słowach — obudź się, Janeczku — i całując go gorąco, używa wszelkich możliwych nazw pieśczo-tliwych, jakimi obsypywała go za życia, w chwilach najczulszych objawów miłości.

Wreszcie rozstaje się ze swym najdroższym przyjacielem, żegnając go na zawsze tklivemi słowy, które stłumił wybuch rozpaczliwego płaczu.

Za chwilę hrabia wyprowadził córkę z domu. Jan, który czuł jej łzy i pocałunki i pojmował szczerą jej słów miłości i boleści, usłyszał teraz, jak za oknami odjeżdżała dorożka, która mu ją na zawsze odbierała.

Pozostał opuszczony — w trumnie żyw.

Żonę i dziecko mu zrabowano. Boże, jak okropny los czeka jego małego Tadzika: tej strasznej tajemnicy nie przeczuwa Wanda, nie zna jej nawet hrabia Roźniewski.

— Pozwól mi, Boże, obudzić się — modli się w nim dusza — żebym mógł biedz ratować swoje dziecko!

Ale nie drgnął w nim ani jeden członek, żaden włos się nie poruszył... A tu drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi obcy ludzie czarno ubrani.

— Ocal mnie, Boże — jęczała dusza w ciele pozornie zmarłego człowieka w chwili, gdy się nad nim zamykało wieko trumny.

Słyszał wyraźnie chrzęst śrub, któremi żało-bnicy przymocowywali wieko, poczem uczuł, że

trumnę z nim poruszono i uniesiono z kanapy. Spokojnym, pewnym krokiem szli ci ludzie zgodnie z sobą, wynosząc go na ulicę. Tu otoczeni gromadką gawiedzi, umieścili trumnę na noszach, dzwignęli je z ciężarem w górę i miarowym chodem po szerokim chodniku Alei Jerozolimskich ponieśli doktora Anielskiego w stronę Nowego Świata, zmierzając na Plac Trzech Krzyży, gdzie w dolnym kościele świętego Aleksandra oczekiwał na nowego nieboszczyka przygotowany czarny katafalk.

W drodze Jan, który dotychczas wszystko czuł i słyszał i bez trudności się oryentował w tem, co się działo dokoła niego — teraz nagle stracił świadomość zupełną.

Czyżby umarł naprawdę?

Czy też zbudzi się ponownie aż w grobie, żeby popaść w szaleństwo z rozpaczą za żoną i dzieckiem; zbudzi się na to, żeby z głodu gryźć własne ręce i zginać wreszcie najstraszniejszą śmiercią — śmiercią człowieka żywcem pogrzebanego.

Ja cię ocale!

Zostawmy naszych znajomych w Warszawie, a przenieśmy się na krótką chwilę, dla poczynienia nowych znajomości, do zadymionego miasta kominów fabrycznych — do pobliskiej Łodzi.

W elegancko umeblowanym pokoju zastajemy wytwornego i przystojnego człowieka, na którym obok dowodów bardzo jeszcze młodego wieku, znać już ślady pewnego wyniszczenia skutkiem wesołego używania życia.

To syn hrabiego Zygmunta Roźniewskiego, a brat doktorowej Wandy Anielskiej — młody hrabia Mieczysław.

Trzyma on, siedząc przed biurkiem, jakiś papier, nerwowo zaciskany w drżące ręce.

— No, teraz po wszystkim! — syknął młodzieniec przez zęby, pięścią w stół uderzając. — Goldenthal... ten łotr, szubrawiec... ach, ja to wszystko przeczuwałem...

W tej chwili podbiegła ku niemu, wyglądająca dotychczas oknem, młodzianka, prześliczna kobieta i stanawszy przed nim, zajrzała mu badawczo w oczy.

— Mieczku — szepnęła cicho smutnym głosem — ty znowu grałeś...

Wtedy on zerwał się z krzesła gwałtownie.

— Tak, tak — zawołał prawie rozpaczliwym głosem, czoło sobie rękoma ściskając — grałem... i...

Zawahał się, a wtedy ona dokończyła za niego:

— I przegrałeś... straciłeś wszystko, co?

— Wszystko — powtórzył głucho.

Młoda kobieta załamała ręce i opuściła piękną główkę.

Hrabia przechadzał się przez chwilę szybkimi krokami wzdłuż pokoju, wreszcie przystanął nagle przed nią i zawołał:

— Słuchaj, Halko... złamałem przyrzeczenie, jakie ci dałem onegdaj... A teraz przeczytaj... to od Goldenthala...

Podał jej papier, który sam czytał przed chwilą, a kiedy ona przebiegała szybko oczyma słowa pisma barona, oparł się Mieczysław o biurko, obejmując ją pełnem tklivoci spojrzeniem.

Była to niezwykle piękna kobieta, o kształtach wspaniale rozwiniętych, mimo dziewiętnastu lat wieku. Nazywała się Halka Modrzewska, ale znano ją pod innym imieniem i nazwiskiem, występowała bowiem na deskach scenicznych, jako początkująca, a niezwykle uzdolniona i jak najlepszymi warunkami obdarzona śpiewaczka — Tola Orliczówna.

Nie miała rodziców ni krewnych i była bardzo samotną na świecie, w czasie, gdy hrabia Mieczysław Roźniewski, poznawszy ją raz w teatrze Selina w Łodzi, zakochał się w niej na seryo.

Zbliżenie się obojga młodych ludzi wywołało wkrótce tak serdeczną miłość wzajemną, że do prowadziło nawet do sekretnych zaręczyn między bogatym hrabiczem a młodzianką aktoreczką.

Ale Halka Modrzewska stała się dla Mieczka nie tylko kochanką, ile raczej najlepszą przyjaciółką młodego utracyusza, tak, że wpływ jej zbawienny na ukochanego mężczyznę mógł być tylko bardzo pożądanym — co właśnie zdarza się nadzwyczaj rzadko w tego rodzaju stosunkach. Jeżeli szło o jego dobro, jeżeli potrzeba było energii lub ofiary — ona była do tego jedyna; ona do największych dla niego zdolna poświęceń, nie zawahałaby się przed niczem, gdyby tego wymagało szczęście jej najdroższego Mieczka.

Teraz, skoro przeczytała podane jej pismo, błyszczały oczy dziewczęcia serdecznem wzburzeniem:

— Jak śmie ten Goldenthal pisać do ciebie w podobnym tonie...